

LUBELSKA PREMIERA TEATRALNA

O tu dużo gadać, to nie jest wielka sztuka Edwarda Franklina Albeego. Może dlatego, że „Wszystko w ogrodzie” jest tylko sceniczną adaptacją utworu Gilesa Coopera, autora wręcz u nas nieznanego. W każdym razie kudy temu tekstowi do wieloznaczności „Kto się boi Wirginii Woolf” czy komplikacji „Małej Alicji”. Jeśli ktoś dziś po niego sięga, to albo widzi w nim dobry materiał do stworzenia kilku niezłych kreacji aktorskich, albo ulega przekonaniu, że wymowa sztuki z lat sześćdziesiątych może być aktualna także obecnie, osobiście w kraju, który bierze przyspieszony kurs z kapitalizmu i ulega fetyszowi pieniądza.

Na tę drugą możliwość mogą nabrać się tylko naiwniacy, bo „Wszystko w ogrodzie” ma dziś wszelkie cechy ramotki. Z daleka od niej zalatuje - jak mawiał Wańkowicz - smrodkiem dydaktycznym. Cóż to za nauki płyną z dramatu? Że w pogoni za mamoną potrafimy się kompletnie zeszmacić i dlatego powinniśmy dokonywać rozsądnych wyborów? Do kogo ta mowa? Do widzów zasiadających w teatrze? Nie wolno przecież ich obrażać posądzeniem o brak szarych komórek pod czaszką. A nowi biznesmeni spod znaku komórki i białych skarpet, nawet jeśli do świątyni sztuki w ramach snobistycznych powinności trafiają, to i tak swoje wiedzą. Albee swe moralizowanie może spuścić z wodą. W całym spektaklu jest w zasadzie jedna prawdziwie dramatyczna

scena. To ta, gdy zrozpaczony mąż, który już wie, że jego żona zapewnia bogactwo siedlisku rodzinnemu kupczeniem ciałem, wyzywa się na Boga ducha winnym taksówkarzu a zapytany, dlaczego to robi, wykrzykuje: - A kogo mam bić! Jak na sztukę firmo-

waną takim nazwiskiem jak Albee to do-
prawdy trochę za mało.

ZBIGNIEWA ZAPASIEWICZA, reżysera Zprzedstawienia przywiezionego na Lubelską Premierę Teatralną z warszawskiego Teatru Współczesnego, trudno jednak podejrzewać o naiwność i o to, że uległ wątpliwym urokom amerykańskiej sztuki. Jako rasowy aktor musiał dostrzec ową tkwiącą w niej potencję, tych kilka pełnokrwistych postaci dających możliwość aktorskich popisów. Rzeczywiście, rola Olgi Sawickiej jako Jenny jest godna zauważenia, bo aktorka wkłada w nią całą duszę i ujawnia wszelkie walory uprawianej profesji (aktorskiej, aktorskiej!). Na naszych oczach dokonuje się przemiana kury domowej, która pośród kłopotów szarej egzystencji nie zatraciła je-

szcze dziewczęcego uroku i powabności (bardzo dobra scena ulegania pokusom adorującego ją sąsiada Jacka). Widzimy, jak zmienia się, jak pęka wewnętrznie, gdy się okazuje, że wymarzone pieniądze nie dają szczęścia. Unosi się ponad podobnymi doń „damami”, nie tylko dlatego, że grające je aktorki dają prawdziwy popis scenicznego nieudacznictwa wynikający z przerysowania postaci, wręcz przeszarżowania. Ona - Jenny - wie, że pobiłdzila, ona jeszcze myśli, ona jeszcze nie tkwi do końca

wytworzenia energii. Z prózności i Sałomon nie należy, i to się czuło w sali Teatru Osterwy, gdzie jakoś nie doszło do owacji na stojąco, tak często, gesto tu obecnych w przy-padku sztuk zaimportowanych z Warszawy.

Na dodatek Zbigniew Zapasiewicz, mistrz w prowadzeniu aktorów w sytuacjach kameralnych, zupełnie nie poradził sobie ze zbiorową sceną party finalizującą wydarzenia sztuki. Była ona nieznośnie minoderyjna, napuszczona, przefajniona. Podobnego koszmarku dawno nie widzia-

Okolice dydaktyki

w tym otaczającym ją panopticum. Przyjemnie patrzeć na kreację Sawickiej, choć w pierwszym odruchu możemy mieć prawdziwe wątpliwości, czy to jest odpowiednia osoba do roli seksistestki cichodajki.

DO Olgi Sawickiej chwilami dorasta tak-
że kreacja Janusz R. Nowicki, jako mąż Jenny Richard, i na pewno Jacek Mikołajczak w roli Jacka. Do tego dochodzi prawdziwy, tak wychwalany w stolicy popis aktorstwa Zofii Kucówny, która zaiste w roli rajfury Pani Tooth kreuje epizod wręcz perełkowy. Ale na tym aktywa tego spektaklu się kończą, bo nie możemy pozbyć się przekonania, że tytaniczną pracę wykonano w wątpliwej sprawie. To tak trochę, jakby wykonawcom kazano przelewać wodę przetakiem albo machać ramionami w celu

łem w teatrze. Może stało się tak i z tego powodu, że i reżyser nie mógł ścierpieć tych nieznośnych oparów dydaktyzmu unoszących się nad całością przedsięwzięcia? Roger, syn bohaterów sztuki, mówi w pewnym momencie, że głupie odpowiedzi zachowuje na egzaminy w szkole. Tam też powinno się odsyłać autorów o wybijających zapędach dydaktycznych.

Andrzej Molik

Edward Albee, Wszystko w ogrodzie. Reżyseria - Zbigniew Zapasiewicz; scenografia - Dorota Kołodyńska, muzyka - Tomasz Hynek, Borys Somerschaf. Spektakl warszawskiego Teatru Współczesnego prezentowany 27 maja 1999 r. na scenie Teatru Osterwy w ramach Lubelskiej Premiery Teatralnej.